

Koźniewski, Kazimierz

Marian Eile

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 31/2, 87-102

1992

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI (Warszawa)

MARIAN EILE

W grudniu 1984 r. niemalą gromadą przyszli redaktorzy „Przekroju”, pisarze i dziennikarze krakowscy, ludzie teatru, malarze i graficy, przyszli jego uczniowie z Akademii Sztuk Pięknych, przyszli wszyscy — staliśmy nad otwartą mogiłą Mariana Eilego. Umarł drugiego grudnia. Śmierć miał chyba nagłą i spokojną — był sam, w swojej małej pracowni w wielkiej kamienicy na Bronowicach. Żegnałem go w imieniu — może uzurpatorsko, ale tak wypadło — najstarszych współpracowników i przyjaciół z dawnego, już bardzo dawnego „Przekroju”, tych, których kiedyś sam sobie dobierał i których kształtował. Nie wszyscy z nas na pogrzeb przyjechali.

Marian Eile!

Marian Eile-Kwaśniewski. Tym drugim nazwiskiem chronił się w czasie hitlerowskiej okupacji i na zawsze pozostał przy nim w osobistych dowodach ewidencyjnych. Dzieła redaktorskie oraz dzieła malarskie, plastyczne podpisywał wyłącznie nazwiskiem rodowym. Natomiast swoje teksty w „Przekroju” sygnował jako „Bracia Rojek” — niekiedy tym drugim „bratem” bywała Janina Ipohorska.

Otóż Marian Eile wczesną wiosną 1945 r. przyjechał był z Łodzi do Krakowa, aby swoimi redaktorskimi umiejętnościami, głównie plastycznymi, wesprzeć Jerzego Putramenta, który z ramienia nowego i dużego „Czytelnika” (a jeszcze wtedy stary i mały „Czytelnik” istniał również) przystąpił do wydawania krakowskiego, kolorowego, ilustrowanego magazynu tygodniowego. Pod Wawelem, gdzie ocalały stare drukarnie, były najlepsze warunki dla robienia pisma rotograwiurkowego.

W styczniu 1945 r., po zwycięskiej radzieckiej ofensywie zimowej, Marian Eile znalazł się w Łodzi. Ostatnie lata, miesiące i dni nader przemysłnie i szczęśliwie ukrywał się w jakiejś firmie budującej szosy — jako grafik i malarz w dni kilka nauczył się niezbędnych w tej pracy umiejętności technicznych i jako technik drogowy, z dala od skupisk miejskich, szczególnie od Warszawy, gdzie łatwo mógł być rozpoznany i zadenuncjowany, koczował wśród inżynierów i robotników, czas cały marząc o redagowaniu po wojnie pisma właśnie ilustrowanego i kolorowego, magazynu tygodniowego, który można by nie tylko wypisać, ale wyrysować i wymalować. Marzyło mu się to zresztą jeszcze przed

wojną, kiedy to jako młody człowiek pracował w „Wiadomościach Literackich”, piśmie wspaniałym.

Kiedyś później, gdy już od dawna był redaktorem „Przekroju”, zdradził nam swoje najskrytsze marzenie: w Paryżu — przed — drugą wojną światową redagować ilustrowany magazyn tygodniowy! Że w Paryżu — to było dla nas jasne. Ale dlaczego przed drugą wojną światową? Wy tłumaczył: w Paryżu przed drugą wojną światową jeszcze można było wydawać pismo zupełnie apolityczne, magazyn, który by bez wikłania się w ideały i politykę służył jedynie tym codziennym, trywialnym nawet, oraz tym artystycznym, szlachetnym, zainteresowaniom czytelników; niestety, po drugiej wojnie światowej nawet i w Paryżu namiętności polityczne tak silnie górują nad innymi, że i tam pisma apolitycznego dzisiaj wydawać już nie sposób.

Eile przesadzał: po drugiej wojnie światowej i w Paryżu, i w całym świecie, ciągle wydawanych było i jest multum takich całkiem apolitycznych magazynów. Nieważny był jednak stan faktyczny, ważne były jego marzenia...

Gdy w Łodzi, w zimie ostatnich miesięcy wojny, rozglądał się za jakąś pracą, oczywiście musiał trafić na Jerzego Borejszę. Na Borejszę trafiali wtedy tam wszyscy, których interesowała kultura, prasa, książki. Eile znał Borejszę jeszcze z lat przedwojennych — Borejsza w „Wiadomościach Literackich” drukował swoje ciekawe szkice hiszpańskie, a Eile od 1935 był sekretarzem w redakcji Mieczysława Grydzewskiego. W 1940 niewątpliwie spotkali się we Lwowie, gdzie Eile, uciekły z Warszawy i znalazłszy się z powrotem w mieście swego urodzenia (trzeba dla porządku zanotować: 7 stycznia 1910 r.), starannie i mądrze, unikając jakichkolwiek deklaracji i działań politycznych, zajął się scenografią teatrów lalkowych. Z takim właśnie kukielkowym teatrykiem podróżował wtedy w głąb Związku Radzieckiego. We Lwowie poznał swą żonę Katarzynę. Tam również poznał Janinę Iphorską.

Czy w Łodzi Marian sam wybrał się do Borejszy, czy też Borejsza, dowiedziawszy się o pobycie Eilego, zaprosił go do siebie — najmniej istotne. Ważny był tylko rezultat ich rozmowy. Eile pojechał do Krakowa, aby w redaktorskiej inicjatywie wesprzeć Jerzego Putramenta.

Lecz oto — przypadek błogosławiony! — gdy już tak razem zaczęli pichcić ten kolorowy magazyn, jakiś radziecki, a może polski, żołnierz na wieść o kolejnym zwycięstwie nad hitlerowcami radosną salwą zaczął walić po krakowskiej ulicy i w ten sposób postrzelił Putramenta w rękę. Istnieją dwie wersje wydarzenia: Putrament akurat przechodził ulicą bądź też siedział w ogródku kawiarni przy Plantach. Putramenta zabrano do szpitala, a Marian sam sfinalizował ich wspólny zamiar: 15 kwietnia 1945 r. wydał pierwszy numer „Przekroju”! Kiedy później Putrament wyszedł ze szpitala, zmianie uległy jego życiowe plany: wysyłano go do Szwajcarii na ambasadora. Jako że w Polsce każda kolejna ekipa polityczna obejmując rządy natychmiast na ambasadorów wysyła pisarzy i dziennikarzy, zanim się nie zorientuje, że to oni właśnie do tej roboty nadają się najmniej. W ten oto sposób Marian Eile został naczelnym

redaktorem początkowo rachitycznego, ale już niebawem dużego i rozchwytywanego tygodnika ilustrowanego.

Tak oto spełniło się jego największe i chyba jedyne marzenie życiowe!

Nazwisko Eilego nie figurowało w stereotypowej i enigmatycznej pierwszej stopce redakcyjnej: „Redaguje zespół”. Pojawiło się tam ono — „Redaktor naczelny — Marian Eile” — dopiero w 146 numerze zbioru ogólnego („Przekrój” zawsze tak tylko się numerował), 25 stycznia 1948 r. Ale też, prawdę mówiąc, czytelników „Przekroju” bardzo mało obchodziło, kim był redaktor naczelny pisma. Natomiast ludzie związani z prasą — literaci, plastycy, dziennikarze — rychło się zwiędzieli, że redaktorem jest Marian Eile, a oni dobrze już wiedzieli, kim był ten Marian Eile.

Wprawdzie w stopce redakcyjnej „Wiadomości Literackich” widniały zawsze tylko dwa nazwiska: redaktora naczelnego Mieczysława Grydzewskiego oraz wydawcy Antoniego Bormana — sekretarz redakcji był anonimem — ale w ostatnich latach przed wojną w tym czołowym tygodniku co jakiś czas ukazywały się wielkie, zajmujące całą kolumnę, konkursy „Pana Grypsa”. Ów „Pan Gryps”, wesoła figurynka o wielkiej głowie, wymyślony i narysowany przez Mariana Eilego, miał najrozmaitsze zabawne przygody, które razem składały się na kolejne konkursy. Czytelnicy ubiegali się wprawdzie o jakieś tam nagrody, ale tak naprawdę „Grypsy” były przede wszystkim inteligentną zabawą, która zyskała sobie ogromną popularność wśród miłośników pisma. Marian Eile był więc przed wojną dość powszechnie znany jako autor „Pana Grypsa”, mniej osób wiedziało, że ten dwudziestopięcioletni absolwent prawa UW oraz Akademii Sztuk Pięknych objął fotelik sekretarza redakcji „Wiadomości Literackich” po Władysławie Broniewskim. Redakcja nie była duża: Grydzewski, Eile, maszynistki oraz goniec. Urzędowali na Złotej, w jednym z pokoiów należących do prywatnego mieszkania Grydzewskiego, zresztą właściciela całej kamienicy, z której komorne w znacznym stopniu podtrzymywało tygodnik. Większą oczywiście powierzchnię zajmowało wydawnictwo, pod kierownictwem Antoniego Bormana, lożujące w eleganckim sklepie przy placu Piłsudskiego.

Jako sekretarz redakcji Eile miał możliwość nie tylko realizowania swoich zabawnych pomysłów konkursowych, ale przede wszystkim pobierał naukę rzemiosła u mistrza. A mistrzem — i to jakim! — był Mieczysław Grydzewski. W trzydzieści kilka lat później, w Londynie, Grydzewski jakoby miał przed śmiercią powiedzieć przyjaciółom, że jego najdoskonalszym następcą i uczniem w sztuce był właśnie Marian Eile. W Londynie, na emigracji, Grydzewski oczywiście czytywał przysyłany mu z Krakowa „Przekrój”.

Eile przy Grydzewskim wykształcił i zweryfikował marzenia swych lat sztabackich spędzonych w warszawskim gimnazjum im. Batorego. W długie, okupacyjne, straszne dni i noce, nudząc się okropnie przy przebudowywaniu dróg strategicznych w Generalnym Gubernatorstwie, technik drogowy Marian Kwaśniewski w sekretnym brulionie spisywał redaktorskie marzenia-pomysły Mariana Eilego. Wśród nich były i takie, jak ów cykl rysunków przedsta-

wiających nieco głupawego, sklerotycznego komentatora wydarzeń codziennych — w każdej, jakakolwiek by ona była, rzeczywistości społecznej bądź państwowej zawsze ją negatywnie komentuje jakiś *laudator temporis acti*. W „Przekroju”, w nowej właśnie polskiej rzeczywistości, pomysł ten zaowocował serią rysuneków „Bęc-Walskiego”, do których Charliego (Ferstera) zainspirował Eile. W brulionie zostały zanotowane i inne pomysły — jak ów najmniejszy teatrzyk świata, swoisty, lecz już na wysokim poziomie artystycznym oraz intelektualnym, komentarz do każdej rzeczywistości. Ten właśnie pomysł, mało skutecznie przez Eilego od początku „Przekroju” suflowany niektórym krakowskim poetom, trafił na koniec na swego genialnego realizatora. I tak powstał „Teatrzyk Zielonej Gęsi”. W tym samym zeszycie technik drogowy wyrysował sobie układy graficzne poszczególnych stron przyszłego tygodnika, spisywał jego rybryki i rubryczki. Tam również znalazły się i jeszcze inne pomysły, które później zostały zrealizowane w krakowskim kabarecie, teatrzyku „Siedmiu kotów”. Gdy Eile z Łodzi wyjeżdżał do Krakowa, ów brulion leżał w walizce ze skromnym pookupacyjnym dobytkiem przyszłego twórcy „Przekroju”.

Pijany żołnierz strzelił w radosnej euforii — i oto Marian Eile z namaszczenia Borejszy mógł zacząć realizować swoje wielkie marzenia i swoje zabawne pomysły. Wprawdzie nie w Paryżu, ale w Krakowie! Wprawdzie nie przed drugą wojną światową, ale po drugiej! Wprawdzie tygodnik ten nie mógł być zupełnie apolityczny, ale... jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma! Jak się nie ma Greta Garbo to i Salcia nie jest zła! — jak to Lopek Krukowski mądrze śpiewał ongiś w „Qui pro Quo”, tym wspaniałym poprzedniku „Siedmiu kotów”. I tak mądry Marian Eile, całkowicie akceptujący tę zasadę, starał się ją praktycznie realizować robiąc swoje pismo.

Mógł je robić, więc je robił! I wykorzystując wszystkie możliwości i dostosowując się do istniejących możliwości. Z Salci mądry Marian uczynił piękną kobietę.

W ciągu sześciu miesięcy „Przekrój”, dwukrotnie zmieniając format i objętość, z numeru na numer doskonaląc pismo, osiągnął nakład pięćdziesięcioletni (na owe czasy zupełnie ogromny!) i stał się najpopularniejszym pismem naszej powojennej inteligencji, i nie tylko w Krakowie, ale w całym kraju. I ten swój priorytet utrzymał przez długie lata. Był pismem eleganckim, o wysokim poziomie literackim, publicystycznym, plastycznym. Pismem, w którym każdy chciał być drukowanym. Być autorem „Przekroju” — to wówczas wysoka ranga towarzyska, niemal obywatelska. Powszechnie czytany tygodnik kształtował opinie i postawy zarówno polityczne, a były to postawy propaństwowe, jak i kulturalne — w kierunku sztuki raczej wysokiej, lecz nie elitarnej, sztuki nazwijmy ją „skamandryckiej”, boć nie „przybosiowej”, nie awangardowej — nie był to jeszcze czas późniejszej propagandy sztuki Picassa. W pierwszym okresie o popularności pisma decydowała jego wyłączność — jedno jedyne takie na prasowym rynku — ale bardzo szybko o poczytności tygodnika zaczął rozstrzygać ton i jakość publicystyki oraz

literatury tam drukowanej, jak też nazwiska autorów — plejada najlepszych piór i ołówków polskiej literatury i sztuki. A to już był rezultat osobistych starań oraz znajomości dawnego sekretarza „Wiadomości Literackich”. „Prze-krój” — pismo rodzajowo odmienne — tak długo jak kierował nim Marian Eile, z całą oczywistością był kontynuacją tego nurtu naszej kultury czasopiśmienniczej, jaki kiedyś tworzyły właśnie „Wiadomości Literackie”. Był swois-tym przedłużeniem nurtu skamandryckiego, w szerokim rozumieniu tego kierunku literackiego i nie tylko literackiego. Mieczysław Grydzewski dobrze wiedział, dlaczego przed śmiercią palmę swego najlepszego ucznia przyznał Marianowi Eilemu.

Przez pierwszych parę miesięcy redakcja znajdowała się w gmachu „Pałacu Prasy” na Wielopolu. Potem na rok przeniosła się do sąsiedniej kamienicy na Starowiślańskiej, aby w lecie 1946 r. już na lat kilkadziesiąt, na cały okres Eilego, znaleźć się w obszernym lokalu na piętrze budynku „Drukarni Narodowej”, przy dawnej ulicy Wolskiej, potem Piłsudskiego, jeszcze potem Manifestu Lipcowego.

Lokal spory, stare, przytulne mieszkanie. Knajpka na niedalekim rogu. Drukarnia w tym samym gmachu — no i Marian miał do swego mieszkania na pobliskiej Felicjanek parę minut spacerkiem; od biedy mógłby nawet nie zmieniać swoich pokojowych, przydeptanych kapci, w których parze jednej zawsze siedział w domu, w parze drugiej — w redakcji. Przydeptane kapcie oraz uroczy Fafik, pies kłapouchy, to dwa atrybuty stale towarzyszące Maria-nowi. W redakcji siedział bez przerwy od dziesiątej rano do piątej, szóstej po południu. Chyba, że miał wykłady bądź ćwiczenia na Akademii Sztuk Pięknych — co bardzo lubił — bądź też gdy wzywany był do Warszawy — najpierw do Borejszy, a potem do innych decydentów naszej prasy, czego serdecznie nie znosił. Natomiast w dzień drukowania numeru — a był to chyba wtorek (choć pamięć może mnie zawodzić) — i on, i wszyscy inni z redakcji cały wieczór, niemal do północy, siedzieli w drukarnianej rotograwiurze, na stołach montażowych przeprowadzając ostatnie korekty ozalidów, a potem czekając na pierwsze numery schodzące z maszyny.

Bowiem Marian każdy przecinek, każdą kreskę, każdy tytuł, każdą stronę, każdy rysunek w każdym numerze sam kontrolował od początku do końca. Od maszynopisu po gotowy egzemplarz! Na dobrą sprawę, jako redaktor, plastyk, grafik, a i literat również, Eile mógłby sam jeden robić całe pismo. Jakaś maszynistka, jakiś sekretarz pomagier i nikt inny nie był mu już chyba potrzebny. Bowiem Eile był z rodu „grydzewskich” — kochał sam robić swoje pismo! I na tym mu się w zasadzie świat kończył!

Istnieją — oczywiście w tygodnikach, w gazetach codziennych wygląda to inaczej — redaktorzy naczelni, którzy wszystko w każdym numerze muszą dopatrzeć osobiście. Każdy najmniejszy drobiazg. Oni to swoje pismo wprost erotycznie pieszczą! Do nich należał Eile. On je sam robił — inni mu w tym tylko pomagali lub przeszkadzali. Im mniej było tych innych — tym lepiej. Są jednak redaktorzy, którzy kompletują zespół i dają mu ogromną swobodę

pracy, ingerując jedynie w sprawy najbardziej istotne. Typem takiego odmiennego redaktora był Mieczysław F. Rakowski. Eile swoją metodą stworzył znakomity „Przekrój”. Rakowski swoją metodą stworzył znakomitą „Politykę”. Na szczęście nie ma jakiegś jednej jedynej metody na robienie dobrego pisma. Są tylko utalentowani ludzie!

Marian Eile pismo swoje komponował przede wszystkim od jego strony plastycznej, dbał o elegancję i dobry smak. Smak w układzie stron, w doborze kolorów, w dyskretnym uroku okładki. Smak w doborze tekstów, w ich walorach literackich oraz intelektualnych.

Dobrał sobie mały, znakomity zespół redakcyjny. Ten zespół świadczył o nim. Charakteryzował jego właśnie! Nauki Grydzewskiego nie poszły na marne. Wprawdzie Eile nie potrafił ograniczyć swojej redakcji tylko do dwóch, trzech osób, ale jednak redakcja „Przekroju” była przez wiele, wiele lat dużo mniejsza niż inne, analogiczne, w Polsce Ludowej. O nadmiernych wielkościach redakcji w PRL decydował generalny, zawsze szkodliwy, rozrost całej biurokratycznej maszyny i państwowej, i spółdzielczej, no i edytorskiej również. „Przekrój” miał redakcję małą, ale przygotowywanie rotograwiurów, kolorowego magazynu ilustrowanego wymagało jednak zespołu liczniejszego, niż ongiś przygotowywanie dość jednostajnie, choć bardzo elegancko łamanych „Wiadomości Literackich”, czarno-białego pisma drukowanego na maszynie płaskiej.

Drugą osobą w redakcji, zastępczynią Eilego, była od samego początku do końca Janina Ipohorska, która również umiała dobrze pisać. Niespecjalnie ładna, ale pełna uroku, dobroci i rozsądnej mądrości była tym jedynym autorytetem, z którym w redakcji Marian się liczył. Razem stworzyli pismo i jego świetność. Janina Ipohorska — Jan Kamyczek! Wymyślała i rysowała dowcipy, bardzo zabawne, prowadziła niezmiernie poczytny „Demokratyczny savoir-vivre”, zanim nie wynalazła — bo to ona ją znalazła! — Barbary Hoff, przez pierwszą dekadę lat robiła w piśmie „modę”. Ale nade wszystko potrafiła znakomicie czytać, bezbłędnie oceniać, skracać i adiustować cudze teksty, teksty nas wszystkich. Jestem przekonany, że Janka Ipohorska — też już od dawna nieżyjąca — powinna się znaleźć na honorowej tablicy najwybitniejszych polskich redaktorów, tuż po Eilem — a prawdziwy talent redaktorski pojawia się bodaj rzadziej niż talent poetycki.

Od samego początku Eile dobrał sobie dwóch doskonałych fachowców, grafików, redaktorów artystycznych i technicznych zarazem. Janusza Marię Brzeskiego, malarza, twórcę graficznego wystroju przedwojennego „Asa”, wydawanego przez koncern IKC, oraz Zygmunta Strychalskiego, w Paryżu przez Mariana Dąbrowskiego wykształconego grafika prasowego. Dwie charakterystyczne postacie krakowskiego światka dziennikarskiego, o których barwne wspomnienie powinien był napisać Ludwik Jerzy Kern, całe lata siedzący z nimi razem w jednym pokoju redakcyjnym i razem z nimi pijący, czasem ostro, czasem ostrożnie. Po śmierci Brzeskiego Eile przyjął do redakcji swojego ucznia z Akademii Sztuk Pięknych, niezwykle i niezmiernie oryginal-

nie utalentowanego rysownika Daniela Mroza, syna przedwojennego redaktora IKC; Mrozowi praca w „Przekroju” ułatwiła start do zasłużonej wielkości.

W „Przekroju” pracowało i współpracowało wielu grafików, rysowników – i Charlie-Ferster, i Gwidon Miklaszewski, i Zbigniew Lengren, i inni – natomiast sam Marian Eile w swoim piśmie nie kontynuował żadnego jakiegos nowego „Pana Grypsa”, nie stworzył w „Przekroju” żadnego cyklu rysunków własnych, nie został sam u siebie żadnym rysownikiem. Raczej pisywał jako „Bracia Rojek”, niż rysował jako Eile. Dbał o to, żeby w piśmie rysowali inni. Może od niego – jako rysownika – lepsi. I tutaj trzeba przypomnieć Antoniego Uniechowskiego, starego „Tonია”. Uniechowski startował jeszcze przed wojną – robił rysunki na bombonierki „Wedla” i mało kto co o nim wiedział. Marian – wiedział! I gdy tylko dostał swoje własne królestwo – natychmiast na dwór wezwał Tonia Uniechowskiego, który rysunkami z fin de siecle’u stał się jednym z architektów przekrojowego cudu i dla którego również „Przekrój” stał się wrotami do wielkiej i zasłużonej artystycznej chwały. Gałczyński, Uniechowski, Osmańczyk, Załuski, no i również Mrozek – każdy był kimś innym, ale każdy swoje poczesne miejsce w sztuce i kulturze polskiej w jakimś ogromnym stopniu zawdzięcza „Przekrojowi”, a więc Eilemu.

Ciekawostka dzisiaj zapomniana: razem z Marianem, tylko jako korektor, zaczynał w „Przekroju”, mało sprzed wojny znany publicysta raczej polityczny oraz młody muzyk i muzykolog, Stefan Kisielewski. W roli podobnej – przy tym jednak również redaktora – przez długie lata pracował w „Przekroju” znany tłumacz, krakowski felietonista, z młodzieńczych lat najbliższy przyjaciel przyszłego polskiego papieża, Julian Kydryński. Potem, na początku lat pięćdziesiątych, dołączył do nas jego młodszy brat, Lucjan, który jako energiczny, zaufany politycznie młody zetempowiec zajął się układaniem kroniki tygodniowej, a jako amator muzyki – doglądał spraw muzycznych. Któż o tym dzisiaj pamięta, że takich ludzi dobierał sobie Marian. Notabene Kydryński, Lucjan, jako „Aleksandra” przez wiele dziesięcioleci pisywał i w 1990 r. pisuje nadal recenzje filmowe.

I jeszcze cudowana Merka Ziemiańska – sekretarka tygodnika od pierwszego numeru. Piękna, urocza, zawsze młoda – przez ćwierć wieku pomagała Marianowi w trzymaniu redakcji w jakich takich biurowych ryzach. Dbała o Mariana, dbała o każdego z nas. Bez Janki i Merki, bez Janusza i Zygmunta, bez Kerna i Klominka „Przekrój” Eilego może by wyglądał nieco inaczej – może by nie był tak uroczym miejscem i pracy, i wielogodzinnego codziennego pobytu. Zdaję sobie sprawę, że w dziesiątkach wspomnień o redakcjach wielkich, popularnych pism pamiętnikarze zawsze je opisują jako miejsca miłej i fajnej pracy o wyjątkowo koleżeńskiej, przyjacielskiej atmosferze. I nie ma w tym wiele przesady. Tak bowiem się składa, że redakcje – zwłaszcza tygodników – organizmy na ogół mało liczne, jeżeli są redakcjami pism, które zdobyły rynek, to muszą one być zespołem ludzi dobrze, harmonijnie ze sobą pracujących. Dobrego pisma nie mogą robić kłócący się ze sobą. Sukces ty-

godnika — to znaczy coś z zakresu pewnej magii społecznej — zawsze zależy i od talentu redaktora naczelnego, i od atmosfery panującej w zespole. Burkliwy, raczej skryty, a w pierwszym kontakcie nawet opryskliwy Marian Eile, biegający po redakcji w przydeptanych kapciach, w kontakcie bliższym okazywał się człowiekiem pełnym uroku, rozumiejącym swoich współpracowników, przywiązany do nich i umiejącym ich przywiązywać do siebie, traktowanym przez nich z ogromnym zaufaniem, redaktorem, umiejącym w zespole tworzyć atmosferę przyjaźni i harmonijnej współpracy. Eile dla wszystkich z nim pracujących był wielkim, bezapelacyjnym autorytetem. Ubóstwiano go i szanowano właśnie dlatego, iż każdy wiedział, że te jego nawet nader apodyktyczne decyzje dotyczące drukowania bądź odrzucania materiałów, że model i kształt pisma, jaki narzucał, że ta jego pedantyczna, czasem granicząca ze śmiesznością dbałość o szczegóły i szczegółiki, że to wszystko przyniosło tygodnikowi sukces, a więc było źródłem i naszego osobistego sukcesu również.

Dobór pracowników i współpracowników redakcji świadczył — jak zawsze — o osobowości Mariana Eilego.

Pod koniec 1945 r., gdy „Przekrój” zaczynał wchodzić na swoją wysoką orbitę, Stefan Kisielewski ostatecznie przeniósł się do „Tygodnika Powszechnego” — gdzie naprawdę było jego właściwe miejsce, natomiast na Starowislanej pojawił się, zaprotegowany przez Kisielewskiego, Jerzy Waldorff. Nie wiem, czy Waldorffa musiał Eilemu protegować aż Kisielewski — sekretarz „Wiadomości Literackich” pewnie doskonale znał Waldorffa ze słyszenia i czytania — ostatecznie zawsze czyta się pisma konkurencyjne, a Waldorff był z „Prosto z mostu”. Stefan i Jerzy w czasie konspiracji okupacyjnej razem pracowali w tajnej komórce przygotowującej radio dla przyszłej, wolnej, odrodzonej Polski. Z tego przygotowywanego radia wyszło niewiele, ale Stefan ułatwił kontakt Waldorffa z Eilem, wtedy jeszcze przecież dość technicznie trudny kontakt Krakowa z Warszawą. A więc pod koniec 1945 r. Waldorff, pan z arystokratycznie wygarbionym nosem i afektowanym akcentowaniem tego co mówił, zjechał ze zrujnowanej Warszawy i zamieszkałszy w kawalerce na poddaszu „Drukarni Narodowej”, zajął stołek redaktorski w „Przekroju”.

Gdy Eile przedstawił mnie Waldorffowi — w styczniu 1946 r. — siłą powstrzymałem wybuch głośnego śmiechu. Takie grymasy losów. Do czego ta wojna doprowadziła. A przecież wtedy takich rozwiązań i nowych personalnych układów było multum. Waldorff z „Prosto z mostu” z Eilem z „Wiadomości Literackich”. Oni — razem! Wielkie nieba! Wprawdzie jesienią 1938 r. Waldorff w dużej grupie innych, z Irzykowskim oraz Andrzejewskim na czele, demonstracyjnie porzucili „Prosto z mostu” protestując przeciwko haniebnemu stanowisku Stanisława Piaseckiego, zajętemu wobec Żydów wtedy akurat z Trzeciej Rzeszy hitlerowskiej przepędzonych przez granicę do Polski. Ale ten sam Waldorff potem jeszcze, w lecie 1939 r., z antysemitycznymi furiami atakował Antoniego Słonimskiego i jego „Kronikę tygodniową” — a teraz on z Eilem, właśnie z Eilem, będzie w jednym piśmie! Ale Eile dobrze wiedział

kogo bierze. W niewiele tygodni Waldorff okazał się redaktorem pierwszorzędnym, obok Ipohorskiej istotnie pomagającym Marianowi. Pisał szybko, doskonale i na każdy potrzebny temat — łącznie z absolutnie na owe czasy prawnymi, tak koniecznymi Marianowi, sprawozdaniami z procesów sądowych, politycznych i terrorystycznych, urządzanych poakowskim oficerom i działaczom. Przez parę lat prowadził — nadając jej kształt własny — ową rubrykę „Rozmaitości”; po nim przejął ją Ludwik J. Kern i „RO” pozostało na dziesiątki lat właściwością „Przekroju”. Niestety — Waldorff równocześnie był tym, któremu „Przekrój” znudził się najprędzej; już na początku lat pięćdziesiątych wrócił do Warszawy, do radia, do swej pasji najważniejszej: do krytyki i recenzentki muzycznej. Jako felietonista muzyczny przeszedł do „Świata”, już wtedy będącego pierwszą konkurencją „Przekroju”.

A więc redakcja „Przekroju” była jakimś powojennym, zresztą dla owego czasu logicznym, biorącym się zresztą również z osobistych skłonności Eilego, pojednaniem narodowym. Pojednaniem „Wiadomości Literackich” z „Prosto z mostu”! Bowiem z kolei Waldorff przyprowadził Eilemu Konstantego Idefonsa Gałczyńskiego, i to w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin po powrocie Gały z zagranicy do Polski, powrocie powojennym. I wtedy — mój ty wielki narrodowy Boże! — zderzyły się ze sobą i razem zespoliły dwie tak wyjątkowo do siebie talentami i gustami artystycznymi pasujące indywidualności — Eile i Gałczyński. Jak oni się znakomicie rozumieli. Eile uważał Gałczyńskiego za poetyckiego geniusza, a Gała patrzył w Eilego jak w objawione słońce i słuchał każdej jego uwagi dotyczącej ideowej, politycznej wymowy pisanych przez siebie wierszy. Przed wojną „Wiadomości Literackie” tylko raz jeden opublikowały, zresztą na miejscu czołowym, wiersz Konstantego Gałczyńskiego — nie chciały drukować tego „oenerowca”, na którym natomiast pozycję swego pisma budował Stanisław Piasecki, wtedy zawsze podpowiadający Gałczyńskiemu, jakie winny być pointy polityczne jego wspaniałych utworów. Po wojnie, w Krakowie, rola ta przypadła Marianowi — teraz Eile podpowiadał te antymieszcząskie i konstruktywne, przrządowe pointy pisanych przez Gałę wierszy. Wysłuchawszy uwag Mariana, sformułowanych przeważnie po parominutowym namyśle — choć niekiedy pan redaktor zastanawiał się dłużej — Gała brał przyniesiony wiersz, szedł do drugiego redakcyjnego pokoju, i po kwadransie wprowadzał do owego utworu pointy i akcenty podpowiedziane mu przez Eilego — a czynił to tak znakomicie, jakby istniały one w tym wierszu od jego chwili pierwszej, jakby się razem z nim narodziły, jakby były one jego integralną częścią. Z tego zderzenia genialnego poety z genialnym redaktorem ogień poszły na całą naszą literaturę i sztukę! To Marian zapłodnił Kostka i powstała „Zielona Gęś”, to Marian powiedział mu, jakie powinny być *Listy z fiołkiem*. I tyle innych poematów i wierszy Gałczyńskiego. W tym układzie osobistym Gałczyński oczywiście reprezentował żywiołowy talent poetycki — Eile natomiast realizm i rozsądek polityczny, co razem uczyniło z całej poezji Gałczyńskiego, wówczas drukowanej przede wszystkim w „Przekroju”, choć również w „Odrodzeniu” i w... „Ty-

godniku Powszechnym”, skuteczny element walki o państwowe, realistyczne postawy ówczesnej inteligencji polskiej.

Z tej ich współpracy — Konstantego, Mariana, Jerzego i Janki — powstało również „Siedem kotów”, pierwszy powojenny kabaret literacki, realizowany w teatrze, a nie w kawiarni — w zamyśle jakaś kontynuacja „Zielonego Balonika”. Ale o „Siedmiu kotach” i o Eilem w „Siedmiu kotach” powinno się pisać oddzielnie — i nie ja jestem do tego powołany. Mało miałem z „Kotami” do czynienia, choć byłem technicznym łącznikiem między Eilem a Ireną Kwiatkowską, gdy Marian angażował ją do tego akurat teatru.

W Krakowie, w ścisłej współpracy z Eilem, zrodził się drugi Gałczyński, ten najwspanialszy, który najdłużej zostanie w literaturze polskiej. Bowiem Marian Eile miał ten najcudowniejszy talent redaktora, który potrafił zapładniać autorów. Nie czekał aż mu sami przyniosą teksty — on je inspirował. To on — *si parva comparare licet...* — wymyślił i kazał mi napisać coś takiego, co stało się powieścią wojennych awantur: *Szczotkę do butów*. Tytuł ten natomiast wymyśliła mi Janka Iphorska.

A potem w „Przekroju” pojawili się następni. Na całe lata, na zawsze z Marianem i na zawsze z „Przekrojem” związał się Ludwik Jerzy Kern, który uzyskał stopień służbowy „starszego publicysty”, a któremu krakowski tygodnik pomógł zdobyć wielką sławę humorysty i satyryka, oraz Andrzej Klominek, trzeci w tym zespole redaktor znakomity, kameralny, cichy, spokojnie mądry politycznie, należący do ludzi Marianowi najbliższych.

Natomiast dwaj wybitni profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego — Henryk Markiewicz oraz Jan Błoński — nie zagrzali tutaj dłużej miejsca. Traktowali „Przekrój” jako wstęp do swoich zasadniczych, naukowych prac uniwersyteckich. Tak samo krótko — parę lat tylko — pracował w „Przekroju” Aleksander Ziemiński, poeta. Redagował kronikę tygodniową, pisywał inne teksty — cicho do redakcji przybył, cicho ją opuścił, też przenosząc się do Warszawy. Inna natomiast sprawa była z Leopoldem Tyrmandem.

Nie bez kozery podaje nazwiska tych, których Eile ściągał do redakcji. Proszę zauważyć: wszystko ludzie utalentowani, którzy pozostawili jakieś ślady, niekiedy całe wielkie tropy w naszej współczesnej kulturze. Nie był to zespół byle jakich! Powtarzam: rezultat świadomych starań i ambicji oraz rozpoznań, gdy szło o młodych i mało znanych, Mariana Eilego.

A więc Tyrmand. Tyrmand zaczął w tygodniku w 1946 r. *Niedziela w Stawanger*. Potem drukował masę innych artykułów, reportaży, opowiadań, wreszcie stał się redaktorem etatowym oraz warszawskim korespondentem działu sportowego. Tyrmand uwielbiał Eilego — to on tak ładnie napisał: „Kiedyś będziemy dumni, gdy będą o nas mówić: to ten ze stajni Eilego!” (Nie wiem, czy chciałby tak napisać powtórnie, już u schyłku swego życia w USA?). Ale politycznie ci dwaj nie byli do siebie dopasowani. Tyrmand pragnął wszystkich szokować swą odmiennością; nie tylko chciał szokować — w swoim najgłębszym „ja” nie chciał dać zgody na istniejącą wokół niego rzeczywistość, choć ją sobie dobrowolnie wybrał, w 1945 r. wracając z Norwegii, z Zachodu

do Polski już Ludowej. Marian Eile natomiast, choć sam poza partią i poza jakimkolwiek życiem politycznym (jeżeli redaktor naczelny takiego tygodnika gdziekolwiek może istnieć poza polityką...), doskonale rozumiał nieuchronność politycznej sytuacji Polski, tej sytuacji określonej ostatecznym rezultatem drugiej światowej; uważał, że inteligencja winna żyć w zgodzie z rządem, wspierać odbudowę państwa, a również gotów był za możliwość wydawania tak świetnego i popularnego pisma płacić określoną cenę mądrego konformizmu. I zespół „Przekroju” był zgodny z Eilem w tej jego postawie. Natomiast Tyrmand był inny. Pierwsza awantura wynikła wówczas, gdy Tyrmand przysłał z Warszawy sprawozdanie z jakiegoś meczu sportowego, w którym — zresztą niechcący — pochwalił publiczność wygwizdującą rosyjską drużynę; napisał to sprawozdanie nie będąc na drugiej części meczu, nie wiedząc co się tam stało. Marian też nie wiedział — sprawozdanie Tyrmanda wydrukował. I draka! Drugą awanturę wywołało potłuczenie szklanego stołu montażowego w rotograwiurze. Leopold z Kernem, nudząc się przy ostatecznej korekcie numeru, za pomocą ołowianego przycisku ćwiczyli sportowe rzuty — i rozwalili cały przygotowany ozalid. Po takich awanturach Leopold wyszedł z „Przekroju” i za swoim bożyszczem Stefanem Kisielewskim poszedł do „Tygodnika Powszechnego”. Tyrmand, tak przecież w gatunku swego pisarstwa „przekrojowy”, nie potrafił dopasować się do ostrożnej mądrości Eilego. Ostatecznie rozbitej szybki winny był również i Lutek Kern, a Kern w redakcji został. Bowiem naprawdę nie szło wcale o rozwalony stół montażowy i stratę tysięcy złotych — lecz o postawę Tyrmanda, która zaczęła trochę zawadzać w „Przekroju”. Borejsza stale robił Eilemu łagodne wymówki, że toleruje Tyrmanda, którego zresztą sam Borejsza przyjął był kiedyś w poczet pracowników „Czytelnika”. Eile bezpartyjny, a więc z miejsca jakoś słabszy na tym rynku gry prasowej, wiedział, że „Przekrój” musi być pismem lojalnym wobec sił sprawujących władzę w państwie. Eile potrafił to zgrabnie rozgrywać: mieć ciastko i zjeść ciastko! Wstępne artykuły polityczne pisywali mu z początku tacy jak Jerzy Putrament, pod pseudonimem Bednarczyk, a pod własnymi nazwiskami Kazimierz Brandys i Zygmunt Mycielski, pisarz, muzykolog, a po nich „Czesław Komarnicki”, zbiorowy pseudonim rozmaitych autorów, wynaleziony właśnie na taką okazję. Ale przecież ta gra musiała mieć jakieś granice i jakieś reguły. A Tyrmand mu ją nieco utrudniał. Nie tym co pisał, ale tym jaką miał opinię. Gdy więc wybuchła draka o rozwaloną szybę drukarską — dwaj wielbiący się autentycznie twórcy rozstali się w spokojnej niezgodzie. Jeden znalazł się w „Tygodniku Powszechnym” i bardzo był z tego szczęśliwy, nawet dumny — drugi odetchnął z ulgą i dalej zrećnie prowadził swoje bezpartyjne, choć prorządowe pismo przez wszystkie labirynty i zasadzki pierwszej połowy lat pięćdziesiątych.

Prowadził je tak, że „Przekrój” szczęśliwie doczekał 1956 r. (co się np. nie udało tylu innym pismom, z „Odrodzeniem” i „Kuznicą” na czele...) i Eile mógł wtedy zrealizować swoje najświętsze redaktorskie marzenie: zaczął przekonywać czytelników, że największym współczesnym artystą naszej epoki

jest Pablo Picasso. To, że Marian Eile po 1956 r. (przed 1956 Picasso był uznawany politycznie, natomiast ledwo tolerowany, przemilczany jako artysta; on był obecny, ale nie jego sztuka!) mógł wprowadzić Picassa, jako artystę, do polskiej świadomości kulturalnej, że polska inteligencja zaaprobowała Picassa i jego sztukę, przecież tak nowoczesną — Jan Kott uznał był za naszą najważniejszą rewolucję kulturalną. Eile pragnął zmiany gustów estetycznych przeciętnego polskiego inteligenta, z trywialnych i stereotypowych na wysokie i nowoczesne. Rozsmakować polskich inteligentów w „Zielonej Gęsi” oraz w „Picassach”, tych wielkich, szalonych i cudownych, to niezbywalna zasługa Eilego, nauczyciela z „Przekroju”.

Grydzewski nauczył Eilego pewnej fundamentalnej zasady: nazwiska! Najważniejsze w piśmie są znane nazwiska! Nawet takie, które nie bardzo pasują do podstawowej linii pisma — redaktor zawsze znajdzie sposób, aby stanowisko pisma dotarło do świadomości czytelnika, a nazwiska są i magnesem przyciągającym czytelników, i tytułem do chwały i sławy pisma. Eile drukował więc u siebie chyba wszystkich koryfeuszy ówczesnej literatury i publicystyki. Tuwim i Iwaszkiewicz, Słonimski i Gałczyński, Nałkowska, Dąbrowska i Kuncewiczowa, Osmańczyk i Jasienica, Miłosz i Wyka, Wańkiewicz i Fiedler, Minkiewicz i Wiech, Rusinek i Świnarski, Kott i Borejsza, Wionczek i Wołanowski, obaj Pruszyńscy i obaj Brandysowie, i cała plejada innych. Wielu spośród nich dzieląc a to z „Kuźnicą”, a to z „Tygodnikiem Powszechnym” — co Eilemu nie wadziło. Marian chciał mieć każdego i każdego miał. To w „Przekroju” wystartowali — na wysoką orbitę — Stanisław Lem i Sławomir Mrozek. A paru księży było drukowanych również.

Ale nazwiska to jeszcze mało. Teksty! Tematy! Utwory!

To właśnie w „Przekroju”, a nie w „Odrodzeniu” bądź w „Kuźnicy” Edmund Osmańczyk ogłosił główny zrab swoich *Spraw Polaków*, najistotniejszą ówczesną książkę polityczną, której tezy jak ulał pasowały do postawy Mariana Eilego. To tutaj opublikowane zostały w 1947 r. artykuły, reportaże ukazujące dramat polsko-mazurskiego konfliktu. To w „Przekroju” drukowany był nowy Gałczyński. W „Przekroju” Zofia Nałkowska ogłosiła swoje *Charaktery*. I tutaj swą powieść *Café pod Minogą* prezentował Wiech, i tutaj publikował on swoją kapitalną historię Polski — *Helene w stroju niedbałym*. Minkiewicz — swoje *Pigułki*, a Mrozek — *Małego Postępowca*.

To wspomnienie o Eilem nie może być powtórzeniem rozdziału z *Historii co tydzień*, nie będę więc ciągnął ogromnej listy nazwisk autorów oraz tytułów utworów, ale jedno chcę przypomnieć. Gdzieś koło 1953 r. Eile zaczął namawiać Jasienicę, aby napisał dla „Przekroju” cykl popularnych szkiców historycznych o tym, jaką naprawdę była Polska XVII w., wszystkim i bardzo idealizująco znana z *Trylogii*. Eile chciał mieć w Pawle Jasienicy nowego Olgerda Górkę. Jasienica temat przyjął, ale jak zaczął pisać, to ruszył od pieca — od *Polski Piastów*. Nim przez Jagiellonów doszedł do *Rzeczpospolitej Obojga Narodów*, to i „Przekrój” się odmienił i Jasienicy się odmieniło — tygodnik nigdy nie wydrukował cyklu esejów Jasienicy o XVII w.,

ale fakt pozostaje faktem, że Eile zainspirował trzy wielkie, sławne dzieła Jasienicy.

Marian Eile był bezpartyjny — absolutny wyjątek wśród naczelnych redaktorów liczących się ówczesnie pism. Do bezpartyjnego zawsze miano sto pretensji. Najpierw puklerzem chroniącym Eilego przed krytyką najrozmaitszych instancji partyjnych był sam Jerzy Borejsza, potem już popularność i waga „Przekroju”, których nie chciano lekkomyślnie ryzykować. Sam Marian też umiał grać... Jak mógł tak się po 1948 r. wymigiwać i wykręcać przed przeniesieniem pisma z Krakowa do Warszawy, na co gwałtownie nalegał Borejsza. W tej sprawie Marian często przyjeżdżał do Warszawy, wzywany, a i nie wzywany również — aby za każdym razem przedstawić jakiś istotny powód mający wstrzymać przeprowadzkę. Nie rezygnować z niej, ale ją odwlec na jeszcze kilka miesięcy... Marian był pragmatykiem — co się odwlecze, to może uciecze... Tłumaczył mi jasno, a ja wtedy byłem warszawskim redaktorem „Przekroju”: „W Krakowie jestem bezpieczniejszy! Nim Borejsza czy Jolles [ówczesny szef prasy »czytelnikowskiej«, zresztą bardzo przyzwoity i mądry], nim któryś inny dotelefonuje się do Krakowa, to minie mu pierwszy gniew sprowokowany naszym błędem faktycznym bądź błędem w cudzośłowie. W Warszawie byłbym stale pod ręką, telefon połączenie dałby im natychmiast”.

Miał rację. Karol Kuryluk z „Odrodzeniem” ściągnięty do Warszawy już po pół roku przestał być redaktorem.

Jestem przekonany, że jeśli Marian Eile przetrwał jako naczelny pierwszą połowę trudnych lat pięćdziesiątych, to dlatego, że „Przekrój” redagowany był w Krakowie, a nie w Warszawie. Eile zresztą świadomie stosował pewne zabezpieczenia dodatkowe: większość artykułów wstępnych, niezbędnych politycznie wstępniaków, sygnowanych przez „Czesława Komarnickiego”, pisywał Roman Szydłowski, ówczesny szef krakowskiej cenzury, z którym Marian przyjaźnił się serdecznie. Roman był fajny chłop — potem wyjechał do Warszawy, gdzie stał się znanym krytykiem teatralnym oraz działaczem międzynarodowych instytucji teatralnych.

I tutaj należy napisać coś bardzo istotnego. Eile nie chciał robić pisma politycznego, ale „Przekrój” był najbardziej istotnym, wpływowym pismem politycznym pierwszej powojennej dekady Polski Ludowej. Nie był on pismem politycznym w tendencji planowanej przez redakcję, ale stał się pismem najbardziej politycznym w sensie określonego oddziaływania na czytelników. Jeżeli stopień polityczności mierzyć rodzajem i zakresem oddziaływania na czytelników — „Przekrój” był politycznie najważniejszy.

Będę się upierał, że żaden inny tygodnik nie wywarł tak ważnego wpływu na postawę ówczesnych polskich inteligentów. Na tworzenie się pozytywnej lojalności wobec problemów i potrzeb odbudowy zrujnowanego państwa polskiego. To właśnie lektura „Przekroju” oddziaływała moderująco na polską inteligencję tak pogruchotaną i klęską polityczną „Polskiego Londynu”, i klęską Powstania Warszawskiego, i utratą Lwowa oraz Wilna. Im oto „Przekrój”

proponował pozytywny, spokojny racjonalizm – racjonalizm *Spraw Polaków*, racjonalizm reportażu z Ziemi Odzyskanych, proponował ironiczny śmiech z pana Bęc-Walskiego, proponował państwowotwórczą zgodę Iwaszkiewicza, Pruszyńskiego, Tuwima, Słonimskiego, Dąbrowskiej i tylu, tylu innych. Oczywiście – gdyby „Przekrój” nie był pismem o tak wysokim kunszcie sztuki redaktorskiej, nie miałby żadnej siły oddziaływania. Miał ją dzięki mądrym, racjonalnemu konformizmowi swojego redaktora naczelnego, który doskonale zdawał sobie sprawę, jak bardzo owe postawy pozytywistyczne są potrzebne ówczesnemu państwu i społeczeństwu tak rozbitemu i zniewolonemu przez zwycięskie mocarstwa drugiej światowej.

W „Przekroju” nie było – jak w wielu innych redakcjach – żadnych ustalonych, regularnych zebrań całego zespołu. Nie omawialiśmy numeru ostatniego ani nie zgłaszaliśmy wspólnie propozycji do numeru następnego. Nie prowadziliśmy przy tym również żadnych zasadniczych debat ustalających linię redakcji bądź rozważających konieczność podejmowania jakichś określonych tematów. Kolejny numer wyłaniał się w nieustannych gadaniach prowadzonych przez cały dzień – bez konieczności jakichkolwiek zebrań – między Marianem, Janką, Jerzym i Andrzejem, którzy wiedzieli, co mają w swoich szufladach. Zawsze zresztą najzasobniejsza była szuflada Eilego. Dysputy polityczne prowadzono poza redakcją, przy stolicku w małej kawiarence przy ulicy Sławkowskiej. Zresztą członkowie redakcji „Przekroju” nie byli ludźmi namiętnej polityki, polityka w zespole redakcyjnym przybierała postać plotki i żartu. Co doskonale pasowało do modelu „Przekroju” – Marian starannie unikał jakichkolwiek skrajności w politycznym zaangażowaniu. W latach tzw. stalinowskich drukował, oczywiście, produkcyjne powieści Marii Jarochońskiej, sławne *Buraczane liście*, czy moje, bardzo zaangażowane politycznie reportaże, ale przede wszystkim lansował felietony Sławomira Mrożka, fantastyczne powieści Stanisława Lema. Przed 1955 r. „Przekrój” z całą pewnością nie mógł być nazwany pismem socrealistycznym, ale po 1956 r. też bardzo ostrożnie angażował się we wszelkiego rodzaju przyptywy i odpływy tzw. odwilży. Odwilż polityczna „Przekroju” to Pablo Picasso! Eile zawsze wolał być w środku. Tam miał ten swój Paryż sprzed drugiej wojny!

I za to był atakowany! Oczywiście – nigdy nie był prześladowany, nie był nawet sekowany, nikt go nie chciał wyrzucić z redaktorskiego fotela, choć w Krakowie nie mała była grupa dziennikarzy, którzy radzi byliby objąć ten fotel po nim. Ale stale był jakoś podgryzany, a to przez krakowskie instancje partyjne, a to przez krytyków warszawskich. Ciągłe się musiał opędzać, tłumaczyć, wyjaśniać – i bardzo go to denerwowało. Chciał robić pismo, uczyć studentów w Akademii Sztuk Pięknych i projektować dekoracje teatralne, a tak mu zwracano głowę...

Dopiero pewnego dnia 1969 r. nie wytrzymał – lecz wtedy wielu również nie wytrzymało! Wziął paszport, wszedł w swoje krakowskie auto i pojechał do Paryża. Nie po raz pierwszy spędzał urlop w swojej ukochanej Francji, ale tym razem wyjazd miał cechy jakby ucieczki.

Nie wytrzymał ciśnienia i antysemickich ataków owego haniebnego roku 1968! Gdy antysemickie furie i fobie zaczęły ogarniać nasz kraj — również i atmosfera wokół Eilego jakby się zagęściła. Paru skurwysynów zaczęło coś tam gadać. Przyjeżdżał wtedy często do Warszawy — wchodząc do gabinetu ówczesnego prezesa RSW „Prasy” głośno pytał od progu: „Czy jeszcze jestem redaktorem »Przekroju«?” Nikt go nie odwoływał, ale było już mu tak duszno, że pewnego dnia wsiadł w samochód i wyjechał do Paryża. Na parotygodniowy reporterski urlop, ale z tygodnia na tydzień odwlekał powrót do Polski — paszport miał ważny do jesieni 1970 r. Póki co w Krakowie „Przekrój” robili Janka i Andrzej wespół z niedawno mianowanym pierwszym zastępcą Eilego — Mieczysławem Kieta. Ale ciągle było tam jakoś niejasno — Marian zaczął pracować w wielkim paryskim dzienniku „Paris Soire”, rysował im, robił jakąś rubrykę, po stolicy Francji jeździł w aucie z krakowską rejestracją i gnieździł się w jakimś podłym podnajętym pokoiku. Ale zbyt długo sprawy nie można było przewlekać — w pewnej chwili wysłał z Paryża do Krakowa prośbę o zwolnienie go z funkcji redaktora naczelnego. Prośba została przyjęta — i to już była granda! Należało czekać aż do upływu ważności paszportu! Redaktorem naczelnym tygodnika został M. Kieta — o którym mówiono, iż nie jest to żaden redaktor, ale „ma-kie-ta” redaktora. A Marian ciągle tkwił w Paryżu! W lipcu 1970 r. spędziliśmy tam razem kilka tygodni. W spokojnym, świetnym nastroju długo siadywaliśmy po kafejkach. Zapowiadał powrót do Polski w ostatnim dniu ważności swego paszportu. Nie wierzyłem mu, myślałem, że zostanie w Paryżu na zawsze — starannie zresztą unikając tam jakichkolwiek politycznych, polskich, emigracyjnych kontaktów. Późną jesienią 1970 r., w ostatnim dniu ważności paszportu wrócił do Polski. Bowiem Eile był polskim państwowcem — i to było w nim takie wspaniałe!

Jakaś jedna i druga rozmowa w Warszawie — wyjaśniająca. Żadnych zarzutów politycznych, ale do redakcji już nie wrócił. Wrócił do domu, do Krakowa, do Akademii chyba również. Znalazł sobie pracownię — w wielkim bloku na Bronowicach. Małą kawalerkę, niewielki pokój, strasznie zagracony. I tam zabrał się — już jako emeryt — do swojej pracy malarskiej, w której nigdy nie stał się żadnym mistrzem. Był tylko wesołym, kameralnym abstrakcjonistą — jego obrazy były kolorowe, przyjemne i optymistyczne, choć i ten optymizm miał swoje granice. W 1983 r. dostałem od niego obraz smutny, wisi przy moim biurku, patrzę na niego od lat stale — jakby łaza czarna spływająca po jakiejś abstrakcyjnej, nie istniejącej, ale jednak istniejącej twarzy.

Malował, odbierał emeryturę, projektował dla teatrów. Spokojnie komentował rzeczywistość lat siedemdziesiątych. Wstrzemięźliwie i ostrożnie reagował na wydarzenia 1980—1981. Znacznie wstrzemięźliwiej, niż uczyniła to ówczesna redakcja „Przekroju”.

Często wtedy przyjeżdżałem do Krakowa, chodziłem do jego pracowni, radziłem się w sprawach mojego „Tu i teraz”. Rozumieliśmy się w pół słowa.

Dla zmienionej już wtedy i rozrośniętej redakcji — Janka Ipohorska prze-

szła niebawem na emeryturę, a Zygmunt Strychalski umarł, przy nowym naczelnym Mieczysławie Czumie ze starego pisma pozostali tylko Merka Ziemiańska, Ludwik Kern, Daniel Mróz, Jan Kalkowski — Marian Eile był jawnie czczonym bogiem. Wielbiono go i fetowano na wszystkich jubileuszach — „Przekrój” obchodził akurat swoje trzydziestolecie. Ale jak to bywa z krakowskimi jubilatami — mało kto się już liczył z jego zdaniem. Redakcja tygodnika już maszerowała — a w każdym razie zerkała — w zupełnie inną stronę, zmieniała model, autorów, kierunek i krok.

Po 1981 r. Ludwik Jerzy Kern przeprowadził z Eilem kilka bardzo długich i niezmiernie ciekawych rozmów — wywiadów publikowanych w tygodniku — dotyczyły one dziejów „Przekroju”. Korektę ostatniej takiej rozmowy, mającej ukazać się w bożonarodzeniowym numerze pisma, Marian przeprowadzał na złamanym już arkuszu tygodnika. Skończył korektę na parę godzin przed nagłą śmiercią. Umarł we własnej pracowni malarskiej, w ciasnym pokoiku — nagle. Dokoła na ścianach wisiały jego wesołe, pogodne obrazy, przed nim leżały korektorskie strony „Przekroju” z tą ostatnią, kernowską, rozmową.

Gdyby nie ten cholerny, haniebny rok 1968, to Eile umarłby może w swoim redaktorskim gabinecie, w budynku „Drukarni Narodowej”, skończywszy korektę dwutysięcznego któregoś tam numeru „Przekroju”. Bo właśnie taką powinna być śmierć jednego z największych redaktorów naszej polskiej prasy.